

Krzysztof Łysogórski

Wrześniowa wycieczka

Rocznik Mińsko-Mazowiecki 20, 253-266

2012

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KRZYSZTOF ŁYSO G Ó R S K I

Wrześniowa wycieczka

Już blisko do końca pięknego lata 1939 r. Pod bezchmurnym niebem podobnie, jak w 1914 r., gromadzą się chmury polityczne. Jak wtedy, tłumy ludzi nad wodą. Komuś na basenie *Legii* w Warszawie, mimo upału pięknego dnia, mróz przeszedł po grzbiecie, gdy przed chwilą z głośnika radiowego nadano wiadomość: w Moskwie podpisano układ niemiecko-sowiecki. „Za 10 lat będziecie mieć wojnę i wy tę wojnę przegracie, bo mnie już nie będzie” – córka przytacza słowa Marszałka Piłsudskiego.

Hitler w rozmowie z Józefem Beckiem w połowie 1935 r. powiedział: „Ktokolwiek by wygrał następną wojnę (...) prawdziwie wygrywającym będzie bolszewizm”. Niedwuznacznie podkreślił, że Rzesza za głównego wroga uważa nie Warszawę, lecz Moskwę. Była to wyraźna oferta dla Polski, wręcz zaproszenie do wspólnego ataku na Związek Sowiecki. Beck odrzucił kilkakrotną propozycję. „Oczywiście nie tracimy z pola widzenia wagi problemu, lecz do walki z komunizmem mamy u nas sądy, wymiar sprawiedliwości, policję”.

Dnia 4 listopada 1936 r. nowo mianowany ambasador RP w Moskwie, Wacław Grzybowski przybył na rozmowy do MSZ w Warszawie. Przyjęty został nie przez Józefa Becka, lecz wiceministra Jana Szembeka. Ambasador złożył relację: „ZSRS zmierza do zagarnięcia kontynentu europejskiego”.

Latem 1938 r., w szczytowym okresie terroru stalinowskiego, rozstrzelowano w ZSRS 5 tysięcy ludzi dziennie.

Pod koniec 1938 r. rozszczepiono jądro uranu w Niemczech. Obliczenia energetyczne, w powiązaniu ze zjawiskiem reakcji łańcuchowej, alarmują niektórych uczonych. Droga do broni nuklearnej została otwarta.

Były bzdurne szykany, które Polacy robili Niemcom przejeżdżającym przez Korytarz do Prus Wschodnich. Pisze sowietolog prof. Stanisław Swianiewicz: „Ogromna większość prasy polskiej jeszcze bardziej wzmogła swój antyniemiecki ton. Zaczęto mówić otwarcie o konieczności likwidacji Prus Wschodnich”.

„Polska opinia publiczna nie była gotowa na dyskusję, nawet rozsądną, podobne nastroje panowały także w wojsku” — pisał Richard Overly, wybitny historyk brytyjski.

Były wyjątki. Był człowiek małego wzrostu, lecz wielkiego serca, geopolityk, publicysta, wizjoner Władysław Studnicki. Pisał: „Napisałem książkę

»W obliczu nadchodzącej drugiej wojny światowej«, którą w czerwcu 1939 roku oddałem do druku. Książka została skonfiskowana. Wylapano prawie wszystkie jej egzemplarze; uratowało się zaledwie kilka egzemplarzy. (...) Złożyłem w sądzie skargę na konfiskatę. Sprawa została przeprowadzona w lipcu 1939 roku przy drzwiach zamkniętych. Bronilem jednego rozdziału za drugim; gdy doszedłem do fragmentu »Skutki wsparcia przez Rosję Sowiecką«, nerwy odmówiły mi posłuszeństwa i wybuchnąłem płaczem. Napisałem do Becka, że przeszedłbym do historii zapobiegając wojnie, oznaczającej dla nas nieuchronną katastrofę. (...) 5 maja wysłałem memoriały do wszystkich ministrów i ważniejszych generałów. Udowodniałem im, że nie możemy prowadzić tej wojny. W krytycznym momencie wkroczyłaby Rosja Sowiecka i oderwałaby od nas wszystkie tereny na wschód od Sanu i Bugu. Zwycięstwo Aliantów nie przyniosłoby nam wyzwolenia. Położenie geograficzne Polski i Niemiec tak się ułożyło, że te państwa muszą być z sobą albo w przymierzu, albo w antagonizmie, wiodącym do wzajemnego zniweczenia się. Wojna Niemiec z Polską, nawet zlokalizowana jest klęską dla Europy, jest zwycięstwem Rosji bolszewickiej. (...) Był to chyba najcięższy okres w moim życiu. Gdy nocą docierał do mnie odgłos maszerujących oddziałów, ścisnęło mi się serce, gdyż boleśnie odczuwałem zbliżającą się katastrofę. W mojej wyobraźni przesuwały się obrazy oczekującej nas klęski, muszę jednak przyznać, że rzeczywistość przerosła wszystko, co mogła sugerować najbujniejsza wyobraźnia”.

Mieszkamy w małym Łasku¹. W te sierpniowe dni matka nie ma, przebywa od lipca w Szczawnicy na kuracji. Siostra jeszcze nie wróciła z podwarszawskiego lotniska Mostówka koło Wyszkowa, gdzie postawiłem pierwsze kroki. Pojechała tam niechętnie, bo wśród sosnowych lasów brak rzeki. Ojciec zabiera mnie nad naszą rzeczkę Grabią. Wzdłuż brzegu kąpieliska ciągnie się sznur drewnianych kabin kąpielowych. Do dziś pamiętam przykre uczucie, gdy woda zalała mi nos. Dziś to nie byłoby problemem.

Tata wynajął kajak. Płyniemy płytką Grabią, w pewnej chwili, na pływaniu rzeczki mocno wyschniętej tego upalnego lata, złamało się wiosło. Kiedy indziej nic nie wyszło z kąpeli: w wodzie kłębi się beztroski tłumek pejsatych i brodatych Żydów, idziemy dalej: tu znowu pławią konie. Raz ojciec zabrał mnie na wycieczkę do pobliskiej lotniskowej miejscowości Kolumna-Las. Autobus odjeżdżał z rynku. Miał dziwne siedzenia z pasów na krzyż. Podszedł konduktor. Zapytał: „Do Kolumny”? Zdziwiłem się nieco, gdy tata odpowiedział: „Nie, do lasu”. W sosnowym lesie tata rozmawia z napotkanym leśniczym. Leśniczy mówi, że te lasy ciągną się aż do Piotrkowa.

Połowa sierpnia. Mama wróciła ze Szczawnicy. Siostra też wróciła. Wspomina: „mama wyglądała ładnie, wypoczęta, opalona, pozbyła się uporczy-

¹ Łask leży w województwie łódzkim - przyp. red.

wej chrypki”. Chmury polityczne gęstnieją. Rodzice zaklejają szyby okien na krzyż, paskami szarego papieru. Dziwne wydały mi się słowa, które usłyszałem w rozmowie rodziców: „Gdy przyjdzie front”. Front to były zawsze drzwi od ulicy do naszego mieszkania na parterze. W pobliskiej remizie straży pożarnej kilkakrotnie włączają syrenę. Ten jękliwy dźwięk dobrze zapamiętałem. To jeszcze nie jest alarm dla miasta Warszawy. To jest alarm dla Polski. *Larum grają, mały rycerzu! Na koń!* To jest alarm dla świata.

Następny obrazek, który pamiętam jest już wojenny. Stoję z siostrą przy świeżym grobie na cmentarzu w Łasku; na grobie przestrzelony, zakrwawiony w środku hełm. Teraz wiem, po wielu latach, że to samolot ostrzelał na moście kolumnę żołnierzy. Na cmentarnym nagrobku podano: *Jan Szwach, kapral z Gdyni. Poległ 5 września 1939*. Byliśmy więc jeszcze w Łasku, choć po pierwszych wojennych dniach opuściliśmy mieszkanie, przenosząc się do nowego domu znajomych na około 3 dni. Gdy wybuchła wojna oglądałem świat cztery lata i cztery miesiące.

W zaprzyjaźnionym pobliskim majątku Wrzeszczewice, na północ od Łasku, dokąd wyjechaliśmy, umożliwiono nam wyjazd na wschód, do jakiegoś kresowego majątku. Bodźca do wyjazdu dostarczył zarządca wrzeszczewickiego majątku, który postanowił uciekać. Ojciec spontanicznie postanowił dołączyć z rodziną. Wypożyczono nam dwa konie, furmankę i woźnicę. Oprócz rodziców na furmance była babcia, siostra (ur. 1929), ja (ur. 1 maja 1935 r.) oraz worki cukru, kupione na wojnę, który jadły konie.

Wspominam ów świat, latem w majątku rodziny Kłosowskich, dziś już tak odległy. Dzieci biegają z siatkami na motyle. Drewnianymi młoteczkami grają w krykieta. Ja poważnie chodzę ze słomką w dłoni. Udują, że strzepują popiół z papierosa. Dworu już nie ma. W 1970 r. został sprzedany i rozebrany. Z rozbiórkowej cegły rolnik wybudował sobie dom. Właściciela rozstrzelali Niemcy, po donosie, za posiadanie broni. Zostały tylko ślady klombu, stare drzewa, resztki dawnego parku i kamienne nagrobki na malutkim cmentarzu. Na miejscu dworu stanął dom nauczyciela.

Wyruszamy na niebezpieczną, daleką wyprawę. W wojenny czas, w nieznanym los. Jest prawdopodobnie szósty lub siódmy września. Drogę i cel zna tylko woźnica. Bogowie Ares i Atena powiodą nasz okręt-furmankę, powiodą sześcioro ludzi i dwa konie między drapieżną Scyllą i podstępą Charybdą. Pamiętam wyjazd spod drzew; ktoś podnosi z ziemi śliwkę. Radzą mu, aby nie jadł, bo może być zatruta. Żegnani ruszamy.

Na szosach zatory uciekających. Stąd już chyba nie ma odwrotu. Rubikon przekroczony. *Alea iacta est — Kości zostały rzucone*. Na bezchmurnym niebie, wysoko, zda się bez ruchu, wiszą klucze eskadr bombowców. Pewnie lecą nad Warszawę, lub odciążone, wracają. Pod lasem dom z okragłą dziurą w blaszanym dachu, bomba nie wybuchła. To chyba fantazja lotnika, który chciał się popisać celnością. O ile pamiętam, ten dom jeszcze raz zobaczę. Wzdłuż rowu szosy trupy koni z wyszczerzonymi zębami. Meandry ślepej ewolucji życia spletały ich losy z dwunogimi, ssaczymi krewnymi, którzy okrutnie walczą ze sobą.

Tego jeszcze nie widziano od wojny domowej w Hiszpanii. Nieopodal, na pochyłości leży na plecach wiejska kobieta. Patrzy w niebo, skąd przyszła śmierć. Nieraz uciekamy na jesienne, ziemniaczane pola. Ojciec łapie mnie pod pachę i tak biegnie. Raz babcia została na wozie. Jakiś żołnierz przysiadł się na nasz wóz. Chce strzelać z karabinu do samolotów. Nie pozwalają mu. Czasem na drodze chaos, dochodzi do spieć. Jakiś dyszel pcha się gwałtownie na nas. W przydrożnym domu piję mleko. Nad kuchennym piecem, pod sufitem, w ciepłym narożniku, czarno od much.

Noc prawdopodobnie z dziewiątego na dziesiątego września. Wyjechaliśmy od Skierniewic z leśnej mroczy. Ogromne płomienie liżą niebo, rozświetlają miejską scenografię. Gorący blask na twarzach. Parują spocone konie. Widok wspaniały w swej grozie. Huczy burza ogniowa. Rozkołysany, ogromny, spiralny, ognisty wir, wznosi się ku poblądlą gwiazdom. Porywistym wichrem ściąga powietrze dołem ze wszystkich stron. Wielkie iskry, jak ogniste motyle, wznoszą się, opadają, wirują, tańczą w kłębiącym się, rozgrzanym powietrzu. Na ziemi morze ognia, płyną ogniste kręte strumyki. Rozpalona stal wygina się, skręca, rwie, chyli do upadku. To płoną Zakłady Państwowego Monopolu Spirytusowego. Usłyszałem nazwę: *Zyrardów*. Płonie majątek ubogiego państwa. Hektolitry alkoholu, zamiast ludzkie, pożera ogień i kanalizacja. Pękają rurociągi. Wrzący alkohol tryska gejzerami ognia. Matka zasłania mi oczy. Przejeżdżamy tak blisko, około sto metrów. Woźnica pogania konie. Uciekamy! Rozgrzane zbiorniki, których nikt nie polewa wodą, w każdej chwili mogą eksplodować, dosięgając nas zarem rozbłysku i ognistą łaźnią. Może nas pochłonąć piekło, zrodzone w mrokach ludzkiej natury. Mogą pozostać tylko pogięte obrycze i osie, podkowy, wędzidła, okucia, klucze od mieszkania i może coś tam jeszcze.

Jest to wyjątkowe miejsce na całej trasie ucieczki. Dokładnie zlokalizowane, pozostało żywym obrazem wśród mroku wojennej wrześniowej nocy. Jest to jedyne udokumentowane, utrwalone w pamięci miejsce na trasie z Wrzeszczewic do Warszawy. Powrót z Warszawy pociągiem za dnia, gdy Polski już nie było na mapie, dopisał inny obraz tego miejsca. Ze względu na powiązanie Żyrardowa w sieci drogowej ze Skierniewicami, pozwala ono z mapy odtworzyć trasę niezwyklej wyprawy. Jedyne początkowy odcinek, do Brzezin, możliwy jest w dwóch wariantach: południowym przez Pabianice, Rzgów, Andrespol i północnym, którym zapewne pojechaliśmy: Lutomiersk, Konstantynów Łódzki, Łódź, Nowosolną.

Dziś to miejsce, *Polmos-Żyrardów Sp. z o.o.*, wielkie zbiorniki, ulicę Jaktorowską i dalszą trasę furmanki do Warszawy wzdłuż kolei, po kilkudziesięciu latach, tak łatwo można obejrzeć w Internecie. Wtedy, załogi samolotów nadlatujących nad Polskę z różnych kierunków ze śmiercionośnym ładunkiem, pokazują sobie daleką, podwarszawską lunę; drga i faluje niemal jak zorza polarna. Wkrótce, zza krzywizny Ziemi, widać wierzchołek płomieni wojennej żagwi zapalanej przez ich kolegów. Takie pochodnie rozjaśniają mroki nocy, która zapada nad Polską. Wkrótce zapłonie pół świata. Czy lotnicy wspominają szla-

chetną postać, drugiego po Janie Wnęku, wielkiego pioniera lotnictwa — spoglądającego ze skrzydlatych pomników — Otto Lilienthala, który w mających powstać samolotach widział zwiastunów wiecznego pokoju?

Toczy się nadal na wschód, turkocąc, furka ciągniona przez dwa zmęczone, sennie, źle żywione koniki, które też straciły dach nad głową. Przed nami kolejna chłodna wrześniowa noc. Jedziemy nocą, jazda za dnia jest zbyt niebezpieczna. Za nami szmat tułaczkiej drogi. Gdzie były miejsca ucieczki, popasu, odpoczynku? Warszawa już blisko. Za nami płomienie i oddalająca się łuna nad Żyrardowem. Z kolei niebo na wschodzie coraz bardziej obleka się purpurą, a do wschodu słońca daleko. To płonie Warszawa. Powtarzają to rozgłośnie radiowe na całym świecie.

Nie pamiętam przejazdu przez Warszawę. Małe dziecko dużo śpi, zwłaszcza przy takim natłoku wrażeń. Przejechaliśmy być może przez kratownicowy stary most Kierbedzia, gdyż zatrzymaliśmy się w kolejańskim domku na Targówku. Tu, na peryferiach stolicy, wśród ubogiej zabudowy i małych ogródków, *śmierć bliżej niż na piędzi*. Rozkołysany termos na piecu kuchennym, jak metronom w rękach *Parki - Morty*, bogini śmierci, odmierzy nam *ad multos annos*, *wiele lat*, wysnute długie pasmo żywota². Czy to ta bomba, co wymiotła dół kloaczny? Termos się nie przewrócił. Zachwiał się i runął znów kulawy porządek ludzkiego świata. Ojciec ze strychu łopatą zrzuca bombę zapalającą, co nie dała ognia. Tu na odległe niebronione przedmieście najłatwiej było zrzucić bomby i uciec przed Brygadą Pościgową myśliwców.

Opuściliśmy bombardowaną i ostrzeliwaną Warszawę kierując się na wschód. Na Woli już walczyła ludność z czołgami, butelkami z benzyną. Na horyzoncie, ukazał się Mińsk Mazowiecki. Podjeżdżamy pod Stojadła. Tu na szalach wielkiej historii rozstrzygnęły się nasze losy. Otarł się o nas złowrogie cień. Przed miastem zatrzymał nas patrol wojskowy: *Tam są już Niemcy!* Po raz pierwszy mamy ich przed sobą. Może byli i tacy, którym „szczęście” dopisało: zdążyli jeszcze przejechać. Może oglądali się za siebie. Pociski padały na szosę.

To z rejonu Mławy ważną szosą od północy, od Łochowa, manewrem oskrzydającym dotarły 12 września pod podmiejskie Stojadła czołgi, samochody pancerne i transportery opancerzone piechoty 3. Armii Prusy Wschodnie, pod dowództwem generała Georga von Kùchler'a z zadaniem: natarcie na Warszawę od północy i wschodu. Nazajutrz, 13 września, po spotkaniu z 10. Armią von Reichenau'a, zamkną na wschód od Warszawy łuk zaciskającego się pierścienia oblężenia. Po drodze stoczyły walki zaporowe w Stanisławowie, około 11 km na północ od warszawskiej szosy w Stojadłach. Wkrótce, po przełamaniu obrony w Dębem Wielkim, rozstawia nieokopane armaty przy szosie i rozpoczyna ostrzał miasta, jak do tarczy na ćwiczeniach. 15 września dochodzi do połączenia 3., 8. i 10. Armii. Miasto zostało całkowicie okrażone.

² Z wyjątkiem babci, która z racji wieku, chorego serca i wątroby zmarła u cioci w Warszawie 5 grudnia 1941 r.

Przestudiowałem ostatnio w Internecie topograficzną scenierię pod Mińskiem. Uzmysłowiłem sobie grozę sytuacji; uświadomiła to sobie również wstrząśnięta siostra. Ojciec, który ciągle z wielkim zamiłowaniem studiował mapy, nie dojrzał nigdy alternatywy, którą postawił nam los po jego decyzji ucieczki. Nasza droga wiodłaby przez miasto ulicą Warszawską i dalej brzeską szosą na wschód. Pod wieczór bylibyśmy może w Siedlcach. I dalej, dudni złowieszczo duży most, za Bug – po tyłu trudach i śmiertelnych niebezpieczeństwach, prosto w krwawe łapy bolszewickie, w Sybir, Gułag i Katyń. W *Imperium Zła*, które udało się krwawo powstrzymać przez kilkanaście lat. Za pięć dni, tracąc tylko ponad 700 żołnierzy i trując groby żołnierzy z 1920 r., którzy ratowali Polskę i Europę, zajmą na zawsze pół Polski, „co nie chciała Niemca”, paktu antykominternowskiego. Dalej, dalej, prosto w zapluskwione, zawszone baraki Gułagu, krwawe piwnice NKWD, kilkudziesięciostopniowe mrozy tajgi Syberii, gołe stepy Kazachstanu z wbitym kołkiem-toczką i dymiący, gorący nagan Błochina. Nie wiadomo czy zdążylibyśmy się rozpakować. Nasza gwiazda przewodnia, która nas wiodła przez otchłanie, zamieniłaby się w pięcioramienną gwiazdę czerwoną. Na szyi i głowie spocząłby sierp i młot. Mijając szczęśliwie sześć paszcz Scylli, zostalibyśmy pochłonięci przez Charybdę. Tragedia dosięgłaby również woźnicę, który nic nie zawinił.

„Radość o poranku” opisuje cytowany Swianiewicz: „O jakiś kilometr przed nami było pasmo wzgórz, spoza których właśnie dopiero co wyłoniła się czerwona kula słońca. Wzgórza przecinało kilka wstęg dróg szerszych i węższych, po nich spelzały w dół sznury wozów cywilnych i wojskowych. Te same wozy przed tygodniem uciekały na wschód; obecnie pod naporem nadchodzących bolszewików poruszały się na zachód. Z perspektywy robiły wrażenie wężów, bezsilnie wijących się pod naciskiem śmiertelnego niebezpieczeństwa, ścisającego je z obydwu stron. W powietrzu była lekka mgła, nadająca promieniom słonecznym odcień czerwono-pomarańczowy, który wydał mi się złowieszczym”.

Śmierć za Bugiem mogła nas dosięgnąć również z rąk miejscowej ludności, pomnej wielowiekowych krzywd i upokorzeń od szlachty i katolickiego duchowieństwa. Jeszcze dobrze nie wystygły zgliszcza popalonych cerkwi nad Bugiem. *Chamie, czapkę z głowy!* Książdz uderzył trzcina dziecko w rękę za prawosławne przeżegnanie się. Wojskowy bił chłopca na furmance po twarzy, przy wtórze rechotu podkomendnych, za to że nie odpowiadał po polsku. To było koło Borysławia. Nie było zgody na uniwersytet ukraiński we Lwowie.

Mordowanie i rabunek pokazało tu już powstanie styczeniowe i rewolucja październikowa. Jeszcze nie zaznali dobrze bolszewizmu. Będą dla ułatwienia przeprawy czołgów rozkopywać brzegi granicznego Zbrucza i budować bramy powitalne. Wkrótce niemieccy żołnierze będą pomagali polskim uciekinierom wydostać się na zachodni brzeg granicznego Bugu, Sanu i Pisy.

Owego 12 września, tam na białej, pokrwawionej warszawskiej szosie pod Mińskiem, zapewne kwadransy były jęczyzkiem u wagi. Gdybyśmy wcześniej wyjechali z Warszawy. Straszna byłaby świadomość popełnionego błędu i jego

skutki. Zapłacilibyśmy również i my za tragiczny finał polskiej polityki zagranicznej Becka, która wsparta bezmyślnością i fanfaronadą powszechnie panujących nastrojów, *Nikt nam nie zrobi nic bo z nami Śmigły Rydz, w równym odstępie — silnych, zwartych i gotowych*, trzymając się za guzik od płaszcza, antyniemiecko zaślepiona, pozbawiona wymiaru geopolitycznego nie widziała śmiertelnego niebezpieczeństwa dla świata, które — w gwałtownym tempie astronomicznych zbrojeń Bolszewi, w strumieniach krwi, potu i łez Gułagu, pierwszych obozów koncentracyjnych białomorskich *Sołówek*, huku naganów w piwnicach i nad dołami śmierci, wrzasku mistrzowskiej w swej skuteczności i prymitywizmie propagandy — wyrastało na wschodzie, za miedzą. Ojciec, który jako uczeń w Priwislanskim Kraju musiał śpiewać *Borie caria chrani*, i *Slawsia, slawsia, nasz ruski car* przypominałby sobie dawno nieużywany język. Pozostałoby już tylko powtórzyć za Dantem: „Lasciate ogni speranza voi ch'entrate”³.

Parę lat wcześniej, w 1937 r., na dworcu kolejowym w Aachen-Akwizgranie rodzice usłyszeli wypowiedź Niemca: *Jaki to lekkomyślny naród*. Wraz z nimi usłyszeli to również inni uczestnicy wycieczki na Wystawę Światową w Paryżu, rozdzieleni opóźnieniem polskiego pociągu. Na dworcu tym ponownie znaleźli się rodzice kilkadziesiąt lat później, gdy odwiedzali swoją córkę, od dawna zamieszkałą, po dziś dzień, w tym sławnym mieście Karola Wielkiego, w którym koronowano wielu królów i cesarzy.

Przestawiły się zwrotnice losu. Albo w lewo, albo w prawo. Teraz już tylko jeden kierunek: na zachód. *Tertium non datur*. Za daleko do granicy węgierskiej lub litewskiej. Pozostawiliśmy mieszkanie z całym dobytkiem i z wreszcie świeżo uzyskanym ogrodem przy domu. Zawróciliśmy do Warszawy. Nasze przygody trwały nadal.

Konie, wóz i woźnica wrócili z Warszawy cali do Wrzeszczewic z miłej wycieczki. A wszystko mogło się zdarzyć. Wrócili przez tereny zajęte przez Niemców, przez zamykający się wśród walk pierścień oblężenia. Ciekawe, co opowiadał woźnica. Nie znam jego dalszych losów. Konie milczały. Jak zapamiętały wyprawę? Wróciły do żłobu. Zasłużyły sobie na to stukrotnie.

To one ponosiły największe ryzyko na szosach i ulicach. Uwiązane do dyszli, skazane były na tragiczną pułapkę w razie ataku, wybuchu paniki. Był to czas, gdy jeszcze nieraz konie stawały dęba na widok samochodu. Duże rozmiary ciała zwiększały ryzyko. A jakie były dalsze losy tych uciekinierów wracających z rozproszenia po polach, dźwigających, bywało rannych i zabitych, gdy zastawali swój wóz rozbity, przyciśnięty wyrwanymi z korzeni drzewami, a konie zabite lub tarzające się w kałuży krwi, oszalałe z bólu i przerażenia.

To było chyba jedno z ostatnich wojennych starć ludzi, z masowym użyciem koni. To od wieków, na niezliczonych wojnach, ich krew miesza się z ludzką. Tyle ich zostało na polach bitew, przeprawach i w przydrożnych rowach. Tyle ich zjedzono w oblężonej Warszawie. Dużo koni było w 1939 i w niemiec-

³ Dante Aligheri, *Boska komedia*. („Porzućcie wszelką nadzieję, wy którzy tu wstępujecie”).

kiej armii. Długo zachowało się zdjęcie: na podwórku naszego domu w Łasku, po przejściowym powrocie z Warszawy, siedzę na koźle bryczki z oznakowaniem niemieckiej jednostki.

Szosa i drogi września 1939!! Tu nikt nie ogłaszał alarmu. Tu miecz Damoklesa stale wisiał nad głową! Tu cichym ślizgowym lotem koszącym, z wyłączonymi silnikami, śmierć mogła spaść, jak grom z jasnego nieba. Krzyk obserwatorów: znowu nadlatują!! Ułamki sekund decydują o życiu całych rodzin. Wibrują wnętrzości wśród ryku przelatujących piekielnych machin. Świdrujący gwizd bomb odłamkowych i zapalających, trzask karabinów maszynowych i działek pokładowych. Z krawędzi natarcia skrzydeł tryskają jęzory ognia. Fałuje, drży rozkołysana, rozszarpywana ziemia pod nogami wśród huku eksplozji, płomieni, krzyku przerażenia i bólu ludzi i kwiku koni. Otwiera się przepastnymi dymiącymi lejami przed biegnącymi ludźmi; wypełniają się szybko wodą zmieszaną z krwią. Po rozplaszczeniu w bruździe kartofliska, dojmujące poczucie kruchości ciała. Oddech śmierci na plecach. Miota wszystkim. Lecą kamienie, połamane przydrożne drzewa, płonące szczątki wozów z dobytkiem, lecą zabijani ludzie, konie i ich fragmenty.

Samoloty lecą z biegiem szosy. W przechyle skrętu migają twarze młodych lotników. Odlecieli. Szosę spowija ośma kurzawy, dymu, ognia. Na okaleczonych przydrożnych drzewach kołysze się, ocieka krwawa jatka. W oparzeliskach krwi tarzają się i miotają ludzie i konie. W tej piekielnej scenerii zagłady, kalectwa, bywało, ocalało z całej rodziny tylko małe dziecko. Podobnie było w zbombardowanym w pierwszą wrześniową noc Wieluniu, w którym na śpiących ludzi spadły bomby, w Sulejowie, Radomsku i tylu innych miejscowościach. Należy zapytać za Remarkiem, co warta jest cała otoczka kultury ludzkości, strzeliste katedry, twórczość malarzy i poetów, wielcy uczeni, skoro coś takiego ciągle ma miejsce. Czy to pokłosie, reminiscencja strasznych walk gądów ery mezozoicznej?

Zobaczcie te obrazy wy, buńczuczni Rydze i Becki, którzy tak przyczyniliście się do wybuchu tej wojny i nagłej klęski dużego państwa, którzy Rosjibolszewizmowi, szykującemu się do ponownego skoku na Europę, oddaliście na zawsze pół Polski. Którzy nie zorganizowaliście obrony na Dniestrze „rumuńskiego przedmościa”, ostatniego refugium. Jego obrona przed bolszewikami miałaby tak wielkie znaczenie polityczne. Zamiast tego *Z bolszewikami nie walczyć* rozkazał Rydz w osławionej „Dyrektywie ogólnej”. 13 września zlekceważył informację, że po sowieckiej stronie rozcięto zasięki. Odgłosy koncentracji niosły się do Polski. Brzęcząc ostrogami i orderami, *silni, zwarci, gotowi* (do ucieczki), tchórzliwie zwialiście z ordynansami hurmą przez Czeremosz pod rumuński klucz, zostawiając ostatnie resztki walczącego wojska. Hańbę waszego postępowania szczególnie uwidacznia dwukrotna bohaterska i skuteczna obrona małej Finlandii, pierwszy raz już w grudniu, w Wojnie zimowej, gdy *Bolszewia-Gangsteria* znowu zaatakowała zdradziecko. Szkoda, że Rumuni nie wydali was Niemcom, mającym wielką ochotę na wytoczenie procesu.

Zobaczcie ten obraz, wy prześmiewczy Hemar-Hescheles i Sempoliński, którzy wśród rechotu głupków wyśmiewaliście złośliwie przywódcę ościennego mocarstwa, aż interweniował ambasador von Moltke, a wy trzęśliście się potem ze strachu, gdy szukało Gestapo. Powinien był ten obraz zobaczyć również wojewoda śląski, wysoko awansowany we wrześniu Michał Grażyński, nacjonalista-germanofob. Ten specjalista od wysadzania ponemieckich wież widokowych, zaogniał na Górnym Śląsku stosunki narodowościowe w sytuacji śmiertelnego, gwałtownie narastającego zagrożenia ze wschodu.

Ostrzegał bez echa w Norymberdze w 1936 r. Joseph Goebbels: „Burzazja Europy nie zdaje sobie najmniejszej sprawy z tych wszystkich okoliczności. (...) Z ich winy Europa runie w najstraszniejszy kryzys i zniszczenie. Tak kwestia bolszewizmu jest kwestią dalszego istnienia Europy w ogóle”⁴.

Przed atomową trzecią wojną światową i radioaktywnymi popiołami Polski ratował później prezydent Reagan i pułkownik Kukliński.

Zamyka się za naszymi plecami pierścień oblężenia. Nie ścigano nas. Odcinek trasy Warszawa – Mińsk Mazowiecki przejechaliśmy dwukrotnie. I oto szybko znów w Warszawie. Na ulicy Szarej, róg Rozbrat mieszkała ciocia z dwojgiem dzieci i nianią w nowoczesnym domu. Wujka nie było, był w wojsku. Ciocia przyjęła nas. Tam pozostaliśmy przez całe oblężenie. Grad bomb i pocisków pada na Warszawę. Żywimy się koniną. W piwnicy, służącej za schron, na schodach jakaś kobieta głośno pyta: „Kto ma cukierki i czekoladki dla żołnierzy?” Wywołało to niezbyt przychylnie komentarze. Znowu *śmierć bliżej niż na piędzi*. Ostrzelany z ogrodów sejmowych samolot, w panice, zrzuca bomby. Ojciec przed spadającymi bombami chowa się do wnęki w bramie. Bomba rozwala oficynę naszego domu; ocalała żona stróża na parterze trzymała dziecko na ręku. Druga bomba wybucha tuż przy ścianie domu, na podwórku obok naszej piwnicy pełnej ludzi. Gdyby poszła pod fundament! Dusimy się w sadzach wyrzuconych z przewodów kominowych domowej kotłowni. Krzyk: „Gazy!” Kiedy indziej ojciec stoi w kolejce. Nikt nie pomyślał o numerkach. Obok upadają dwa pociski. Nie wybuchają. Przyniesione świńskie ogonki próbujemy przyczepić kuzynce.

Wreszcie spóźniona kapitulacja. Wychodzimy na balkon. Cisza... Ustała wielodniowa kanonada... Wieczorna zorza miesza się z lunami pożarów... Dwa dni temu, 25 września, był nalot dywanowy. Rzucamy kwiatami na maszerujące do niewoli kolumny obrońców. Zwarte kolumny zwycięzców śpiewających *Deutschland über alles* witamy grudkami ziemi. Znowu można spać w łóżku, choć w ciasnocie. Bawimy się na gruzach oficyny. Czuć ulatniający się gaz. „Sprzedajemy” cioci „pieprz” zrobiony z tynku i „paprykę” z cegieł. Siostra rani rękę w mieszkaniu kawałkiem szyby szafy bibliotecznej, rozbitej odłamkiem. Po co ją tam wpychała przez dziurę. Zawsze miewała niemądre pomysły, np. wsadziła swoje banany pod poduszkę. Na kracie piwnicznego okienka i na balustradzie balkonu zapamiętane na lata wgniecenia po odłamkach. Na podwórku

⁴ Mowa Ministra Rzeszy dr Goebbelsa na Kongresie NSDAP w Norymberdze w roku 1936.

i ulicy Szarej zieją ogromne (w oczach dziecka?) leje. Od bomb i pocisków zginęły tysiące ludzi. Miasto jest zrujnowane.

Jak wyglądała Warszawa po oblężeniu, w początkach okupacji, przekonam się wkrótce, gdy losy wojenne rzucą dwójkę dzieci, siostrzyczkę i brata, znowu do stolicy.

Pociągiem, kulturalnie, wracamy do Łasku i my z jesiennej wycieczki. Nasz okręt przepłynął między Scyllą i Charybdą. Za nami zostały gruzy, pogorzeliska, dymy, bombowe leje, trupy, zagrożenie, kurz, tułaczka. Tylko pogoda na szlaku dopisała. Nie mokliśmy w zimnym jesiennym deszczu. Babcia pozostała w Warszawie u córki. W Żyrardowie dymi się jeszcze pogorzelisko.

W opuszczonym mieszkaniu świecą się okna. Zakwaterowali się w nim oficerowie niemieccy. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, po zamknięciu drzwi za sobą w pierwszych dniach września, wchodzimy do mieszkania. Jesteśmy cali, w naszym mieszkaniu! Nikt nie został nawet draśnięty! No, może z wyjątkiem siostry, kombatantki, która wepchała rękę przez rozbitą odłamkiem szybę i odniosła wojenną ranę. Widzimy zmieniony szklany klosz okalający jedną z żarówek lampy pod sufitem. Jest więcej strat. Zniknęły zapasy prowiantów, które zgromadziła mama, mój pozostawiony w szafie złoty zegarek, prezent od wujka i niestety także mój nocnik, co zaraz przykro odczułem, korzystając z wiadra. Oficerowie zapewne znali z opowiadań, może rodzinnych, paniczną ucieczkę ludności Prus Wschodnich w 1914 r. Szybko się wynoszą. Zegarek to nie oni. Na słowa mamy: „Nie jesteście groźni” pada odpowiedź: „Poczekajcie, jak przyjdzie Gestapo”.

Gestapo przyszło. Tatę aresztowało po około dwóch tygodniach od powrotu z Warszawy. Pobiegłem z domu, łukiem ul. Warszawskiej w kierunku rynku, aby dać mu koc przytomnie podany przez mamę. Przez parę miesięcy był w obozie w Radogoszczy. Na szczęście wcześniej zniszczono listy członków Stronnictwa Narodowego. Wszedł gestapowiec do hali fabrycznej i zapytał: „Kto chce zaraz umierać za ojczyznę?”. Wstał jeden — nauczyciel. Został zaraz wyprowadzony i ... zwolniony. Gestapowiec tam wychłostał kogoś nahajką za mycie się w koszuli na podwórku w ową pamiętną, wyjątkowo srogą zimę. Inny na moich oczach zdzielił nahajką przez twarz starą Żydówkę, obejmującą męża, którego zabierał z drewnianego domku. Jakiś Żyd powiedział ojcu w obozie: „Taki będzie rząd w Polsce jaki my zechcemy”. Gdy mama załamywała ręce, powtarzając: „Boże, Boże” odpowiadałem: „Boże, Boże nic nie pomoże”. W ów smutny czas chciał mnie adoptować kucharz-berlińczyk niemieckiej armii, której jednostka urządziła się na naszym podwórku.

To są moje ostatnie dni na tym, tak dobrze znanym podwórku. Wiele miejsca zajmuje na nim zepsuty czerwony samochód straży pożarnej. Oto siedzę na miejscu kierowcy, naśladuję warkot silnika. Przechodzący starszy żołnierz niemiecki mówi „Kaput”. Bawię się mosiężnym moździerzkiem. Podrzucający, trafia w okno garażu, zajmowanego przez niemieckie wojsko. Wybiega żołnierz, chwytając deskę, by po chwili ją porzucić. Do tego garażu, w którym jest kuchnia

polowa kieruje się syn stróża z menażką po zupę. Zamiast zupy, wchodząc, dostał kopniaka.

Po wypuszczeniu ojca nadszedł kres naszego zamieszkiwania w Łasku. Wróciłem z siostrą ze zdemolowanej Warszawy, do której zabrał nas wujek wkrótce po aresztowaniu ojca. Wchodząc, zapamiętałem obcy zapach mieszkania. Zapamiętałem rozprute bombami kamienice. Kolorowe ściany wnętrz, wannę, trzymającą się kawałka podłogi łazienki; ktoś się tam wykapał ostatni. Również zebrzących inwalidów wojskowych bez rąk, bez nóg. Niemieckich żołnierzy coś tam sprzedających nieufnym przechodniom. Tabliczki przy bramach domów: *Obcym wstęp wzbroniony*. Wspinałem się na Polu Mokotowskim na skrzydła uszkodzonych niemieckich samolotów, które zdołały wylądować. Z siostrą i innymi dziećmi jeździłem na sankach. Kawałek dalej w śniegu skarpy Frascati leżały ciemne trupy rozstrzelanych, podobno za radia.

Graniczna stacja Rzeszy Poraj. W mroźną lutową noc błyszczą blaszki miki⁵ na ścianie domku dyżurnego na peronie. Długie oczekiwanie na pociąg do Rzeszy. Nadszedł koniec wojennej tułaczki. Już machają rękami z okien dużego domu na powitanie. Bieleją w śnieżnej scenerii niskie pobielane ściany. Ciocia zdejmuje mi w sieni brązową wełnianą pilotkę. Wynieśliśmy się do folwarku Łysa Góra, należącym do rodziców ojca, przy wschodniej granicy dawnego udzielnego biskupiego księstwa siewierskiego (1443-1790), pięknie położonego na wysokiej triasowej skarpie, wśród bogatej roślinności głębokiej doliny Czarnej Przemszy koło Siewierza. Wśród psów i kotów, wiosennych kaczeńców, niezapominajek, wełnianki i sasanek w mokrych parowach, przylaszczek i fiołków, jaskrów i goździków i tylu innych rzadkich roślin uroczysk i barwnych dywanów wspaniałych łąk, nad wijącą się pośród starych drzew Czarną Przemszą, w której trafiały się wielkie ryby, rankiem budził śpiew ptaków i muchy; majowymi wieczorami wśród woni rozkwitłego bzu niósł się odległy rechot żab. Dorośli w ciepłe wieczory do późna przesiadywali na ławkach. Dużą atrakcją w ten wojenny czas było pieczenie ziemniaków w ognisku w wielkim żeliwnym garnku, pod naturalnym przykryciem z liści łopianu i wyciętej darni. Kot miałczał, czując pieczonego indyka na komodzie i ścigał z choinki, wiszące wśród własnoręcznie wykonanych ozdób, mleczne cukierki *krówki*, zrobione przez mamę. Inny kot Bibi zjadł trutkę zrobioną z muchomora i poszedł umierać w krzaki.

W latach siedemdziesiątych rzeczkę, wijącą się, jak błyszcząca wstążeczka wśród krętego szpaleru drzew i tych kobierców kwiatnych łąk, przekształcono w rów melioracyjny. Domu i folwarku też już nie ma, został sprzedany. Wszystko dziko zarosło pod drutami linii energetycznych. Jakby się nam przydał ten prąd zamiast lamp naftowych i karbidowych, gdy jedynymi maszynami były kierat, ręczna siewczarnia i młynek do mielenia ziarna.

Oprócz tragicznego incydentu wywołanego donosem z powodu nielegalnego uboju, nieopodal w betoniarni obok Nadleśnictwa, (*Sami na siebie donosi-*

⁵ Miki – grupa minerałów zaliczana do gromady krzemianów – przyp. red.

cie, przecież byśmy nie wiedzieli) — jak na warunki wojenne i poważne w wojenny czas wykroczenia mieszkańców folwarku — było prawie spokojnie.

Rynek siewierski. Po jednej stronie rynku szylł *Apotheke*, po drugiej, na największym domu duży napis: *Deuthes Haus*. W aptece u pani Domańskiej udaje się mamie zdobyć buteleczkę gliceryny na ręce niszczone ciężką pracą. Nitrogliceryna walczy z bolszewizmem. Siewierzanie na rynku drewniane domki zastępują murowanymi. *Folksdojcz* w Siewierzu ostrzega ojca: jeszcze jedno sprowadzenie ziarna siewnego na przemiał i wylądować w Oświęcimiu. Nielegalne lekcje, których rodzice udzielają kilkorgu dzieciom z Siewierza też uchodzą bezkarnie. Natomiast nie uchodzi bezkarnie poślizgnięcie się z wywrotką zandarma przed zakładem fryzjerskim. Wyciągnięty z wnętrza fryzjer w białym fartuchu dostaje w policzek i za chwilę posypuje śliski chodnik popiołem. Kiedy indziej nie zareagował zandarm na widok ojca w rozpiętym płaszczu podbitym futrem, choć był srogi nakaz przekazywania futer dla walczącej armii w Rosji.

Piękna krowa sprowadzona z głębi Rzeszy, teraz marnie żywiona, daje mało mleka. Wielki rozplodowy baran też sprowadzony z Rzeszy idzie pod nóż. Rolnicy, którzy przyprowadzili owce kiwają głowami na widok małego baranka. Tłuszcz, będący w dyspozycji, częściowo szedł do wyrobu domowego mydła. W kartkowym mydle najczęściej było gliny. Kiedyś, o zgrozo, połknąłem kawałek sody kaustycznej, myśląc że to ser. Gorzej było gdy wpadłem do wezbranej rzeki i ocalałem, mimo że chwilę leżałem na dnie łykając mętną wodę. Chłopcy z Piwoni nie chcieli wierzyć, że umiem czytać: „Przecież nie chodzisz do szkoły”. Córki folksdojczka z Siewierza, uczące się w Siemianowicach, tańczą i śpiewają przed domem: „Fidiri, fidira, fidirallalla”. Przejściowo groziło wysiedlenie, gospodarstwo miał zająć Rumun. Spaliłem wtedy z kuzynem nasze okręty, które nigdy nie pływały. Biegnę do altanki w ogrodzie: „Gestapowiec przyszedł po pana!” Piękny skok przez płot. A co to był za tragikomiczny widok, gdy niektóre wiejskie kobiety biegły parę kilometrów ze świętymi obrazami, bo ponoć chłopak ze wsi przebił się nożem. Strzelał podgrzewany nad świecą wielki klucz, napelniony wymyśloną przeze mnie mieszanką czerwonego fosforu z zapalek i celuloidowych wiórek uzyskanych przy pomocy zyletki ze szczoteczki do zębów. Później nie brakowało prochu karabinowego⁶ i artyleryjskiego, a nawet trafiał się gorzki w smaku trotyl, którym na szczęście nikt się nie zainteresował.

W siewierskim sanatorium aresztowano doktora Gawlika. Po pewnym czasie został wypuszczony. W pobliskiej wsi Krzemienda Niemcy wysadzają dach kapliczki z małym dzwonem za kontakty z partyzantami. Dach z dzwonkiem wylądował cały w przydrożnym rowie. Wzdłuż szosy wycięto szeroki pas lasu. Niemcy ostrzegają mieszkańców podsiewierskiej wsi Piwoń, że ją spalą, gdy znowu wiejscy chłopcy położą kamienie na szynach nowej linii kolejowej Zawiercie – Tarnowskie Góry. Sołtys z Piwoni przepowiada: „Niemcy wojnę wygra. Ja sołtys wam to mówię”. Niemiec, pan Becker zapytał ojca, gdy szliśmy nad rzeką wyjąc haki na węgorze: „Kiedy pan wiedział, że Niemcy przegra-

⁶ W 1945 r. w mieszkaniu wujka w Gliwicach wypaliłem do cici z karabinu wcześniej usunąwszy pocisk z naboju.

ją?” Tata odpowiedział: „Gdy Francja i Anglia wypowiedziały wojnę”. Do folwarku położonego tak blisko wielkiej przemysłowej aglomeracji docierają echa grozy wydarzeń. Ze zlikwidowanego w Będzinie getta trafia trochę zapluskwionych mebli, poniewierają się kartki zadrukowane żydowskim pismem.

Późnym zimowym wieczorem 1944 r. łomot do drzwi obwieścił wizytę partyzantów. Tata w panice jedyny swój garnitur wpycha na strychu do beczki z plewami. Będzie miał długo co czyścić. Partyzant – śpiewak operowy zniszczonym, przepitym głosem śpiewa arie. Odchodzący partyzanci zabrali ze sobą kilku zbiegłych jeńców sowieckich ukrywających się w leśnej ziemiance, którym folwark dawał żywność i naftę. Im śpiew lepiej wychodzi. Kapitan Szelest zapytał: „Myśmy was wyzwolili, a kto nas wyzwoli?” Wylądowali w stalinowskich łagrach. Nie przynieśli wolności, bo jej sami nie mieli.

Rozpaliła się druga wojna światowa. Zwiastowała ją w sierpniu w Łasku jękliwa syrena. Nieszczęsny wiek dwudziesty krwią spłynął po raz drugi. Prawdziwym zwycięzcą wśród gruzów, grobów, kolczastych drutów łagrów i dołów śmierci została Bolszewia. Uratowana, pomalowana, wyperfumowana, urosła w haniebnym, złowrogim sojuszu wojennym. Wojennego diabła, przypartego dramatycznie do ściany, wypędzono Belzebubem czasu wojny i pokoju.

Nadejście bolszewizmu poprzedziło dalekie dudnienie artylerii, które usłyszeliśmy zjeżdżając na sankach ze wspaniałej skarpy rzeki⁷, a później nocna feeria kolorowych girland rakiet nad *rządowym lasem*. Przyszli ci prawdziwi, wykreowani zwycięzcy. Nie zatrzymało ich kolejowe działo w Siewierzu, którego straszny huk wstrząsał okolicą, wielki rów wykopany na przedpolu miasta i kolejowe transporty wojska ze Śląska. Czołg rozerwany na strzępy pociskiem pancerny. Także armaty, które krótko zagościły na folwarku. Był komentarz: „Teraz oni na łózkach a my na podłodze”. Obrońcy na pożegnanie zostawili granat w kuchennej węglarce. Zostawili też pokrwawioną białą łódkę do transportu rannych po śniegu. Rano płonąła na odległym wzniesieniu wieś Niwki. Niósł się terkot serii z pepesz. Samotny, daleki wystrzał obwieścił śmierć niemieckiego żołnierza na Piwoni. Białą szosą od Zawiercia ciągną kolumny bez końca. Malczik na koniu: „Dzielnie wojuje. Armaty. Porozrzucana amunicja. Ktoś mówi do ojca: Wy Poliaczki, wy chitryje, my jeszcze budiem woje wat”.

Ruski weterynarz klękał na widok złotego zegarka. Dostał go za rower. Później inni sowieci, daleko na stromej klinkierowej szosie wołają: „Diewoczka dawaj rower!” Przed wynikłym nagłym dramatem sytuacyjnym, kolizją samochodów, usiłowali odebrać go uciekającej pod górę, ocalonej siostrze. Młody żołnierz pogonił w sieni siostrę z rewolwerem w ręku. Brzozowy las nie wiadomo po co mocno wycięli. Wycięte drzewa zwalili na naszym podwórzu i zostawili. Natomiast zabrali oba konie zostawiając duże gospodarstwo bez siły pociągowej. Suszące się przed domem podniszczone ręczniki i bieliznę skomentowali: „Wot burżuje”. Smutny los jeńców niemieckich prowadzonych na rozstrzelanie

⁷ Chyba byłoby to idealne miejsce dla lotów Otto Lilienthala i nauki lotniarstwa.

zobaczył ojciec: „Rosija njedaljeko”. Już bieży parobek folwarczny z gwiazdkami oficerskimi na bolszewicką przynętę. Przynajmniej zdetonował dwa granaty ręczne.

Gdy w 1957 r. zamieszkamy w Gliwicach okaże się, że nasi sąsiedzi obok na piętrze, za ścianą, z którymi utrzymywaliśmy bliższe stosunki, byli właścicielami domu w Łasku, w którym mieszkaliśmy, a sąsiadka nawet raz rozmawiała tam około 1930-1932 r. z naszą mamą.

Gliwice, 28-29 luty 2002 – 26 styczeń 2003